

■ TŁUMACZ NIE JEST ANTYGONĄ

Z Małgorzatą Sugierą i Mateuszem Borowskim o *Żądaniu Antygony*, przekładzie i feminizmie rozmawia Anna Kowalcze-Pawlik

A.K.-P. Prezentowany numer „Przekładańca” powstał z myślą o ukazaniu stanowiska feministycznego w teorii i praktyce przekładu. W książce *Gender in Translation* Sherry Simon wysuwa tezę, że warcją chyba przypomnienia w kontekście *Żądania Antygony*: działalność przekładowa jest/powinna być przejawem literackiego aktywizmu. Z kolei Inga-Stina Ewbank stwierdza, że w przypadku tłumaczenia poetyka często zmienia się w politykę. Co Państwo na to? Tekst Butler jest chyba tekstem o wymowie mocno politycznej?

M.B. Jest, choć nie wiem do końca, na ile jest tekstem feministycznym – trudno powiedzieć, że Butler napisała książkę poświęconą teorii feminizmu. Głównie dlatego, że nigdy jej nie interesowała kategoria kobiety czy kobiecości w takim rozumieniu, jakie przyjęło się w latach siedemdziesiątych zgodnie z ustaleniami drugiej fali feminizmu. Interesują ją raczej kategorie społeczne, które w określony sposób funkcjonują i odpowiadają za określone rozstrzygnięcia prawne. One zaś w przypadku *Żądania Antygony* nie mają wiele wspólnego z sytuacją kobiet, a jeśli już to osób wykluczonych społecznie, ze względu na chorobę (tu oczywiście chodzi głównie o AIDS) lub niekanoniczne związki rodzinne, czyli nie oparte na prawie krwi. Z feminizmem nie ma to wiele wspólnego. Natomiast polityczna kwestia, która wiąże się z tym przekładem, sprowadza się oczywiście do kontekstu. Butler pisała *Żądanie Antygony* w kontekście amerykańskim. Już na samym początku sygnalizuje, że zajmuje się przemianami tego właśnie społeczeństwa na przełomie XX i XXI wieku. Trudno się nie zastanawiać, na ile ten interwencyjny tekst ma rację bytu w naszym kon-

tekście, tu i teraz. W tym sensie przekład na język polski ma wymiar polityczny, ale to cel bardzo odległy, kiedy zaczyna się zwykłą pracę tłumaczeniową. Proces tłumaczenia każe najpierw sproblematyzować kategorie, którymi się posługujemy, w naszym języku i w naszym kontekście kulturowym, a te kategorie w przypadku *Żądania Antygony* dotyczą podstawowych kwestii związanych z tym, co nazywamy relacjami rodzinnymi, łącznie z głównym pojęciem *kinship*, które pojawia się w podtytule i które dla Butler niekoniecznie odsyła do prawa krwi. Natomiast narzucający się w pierwszej chwili polski ekwiwalent *pokrewieństwo* już te związki krwi w sobie zawiera. Ten przykład najlepiej pokazuje polityczny wymiar gestu tłumaczenia. Gdybyśmy przetłumaczyli *kinship* jako *pokrewieństwo*, byłaby to określona polityczna decyzja, sytuująca ten termin w określonym kręgu odniesień. Zdecydowaliśmy się na bardziej neutralne *związki rodzinne*, by podkreślić ich odrębność od tradycyjnej koncepcji rodziny opartej na heteroseksualnym kontrakcie.

M.S. Już wybierając tytuł *Żądanie Antygony*, a nie na przykład *stanowisko*, choć angielskie *Antigone's Claim* do tego uprawnia, byliśmy polityczni, bo podkreślaliśmy aktualność czy wolę działania z jej strony. Chciałabym jednak wrócić na chwilę do cytatu, który Pani przytoczyła. O jaki aktywizm chodzi? Każda decyzja tłumacza – przełożę ten sonet, a nie tamten, przełożę sonet, a nie dramat, nawet w przypadku Szekspira – niesie pewne znaczenie. Czy znaczenie polityczne? Najpierw musielibyśmy ustalić, czy mówimy o polityce czy o polityczności. W zasadzie jeśli przyjmujemy, że polityczne jest wszystko to, co wyraża moje poglądy w konfrontacji z innymi poglądami, bardziej lub mniej obowiązującymi, to decyzja o oddaniu angielskiego *claim* jako *żądanie* okaże się decyzją polityczną. Czy to wyraz aktywizmu? Proces tłumaczenia wymaga aktywności, jednak bodaj niekoniecznie i nie zawsze politycznej, bardziej może światopoglądowej. Każdy tłumacz zostawia na przekładzie swój znak właśnie dlatego, że woli pewne związki frazeologiczne od innych, że w określony sposób rozumie słowa czy sformułowania. Tutaj właśnie odbywa się rodzaj negocjacji między oryginałem, czy może raczej tym, co rozumiemy z oryginału, a tym, jak możemy to oddać we własnym języku i systemie myślowym. *Żądanie Antygony* nie jest dla nas feministyczne, tak jak Judith Butler nie jest już feministką – kiedy pisała tę książkę, sformułowała już przecież teorię *queer*, a nawet poszła o krok dalej. Najlepszy dowód to zbiór tekstów *Undoing Gender* z 2000 roku, gdzie Butler pisze o „interseksie” i „transgender”. To nie jest z pewnością feminizm z jego mniej lub bardziej politycznie

sytuowaną czy esencjonalnie traktowaną kobiecością, nawet w wydaniu Elizabeth Grosz... Poza tym co najmniej od końca lat osiemdziesiątych mówi się raczej o postfeminizmach. Terminologia jest tu niesłychanie ważna. Przecież przemiany feminizmu anglo-amerykańskiego wiązały się w pewnym sensie z dwoma kolejnymi przekładami pism Cixous na amerykański. Francuska filozofia tego nurtu w znacznej mierze problematyzuje sam język, język francuski – tłumaczenie musi tu być aktywistyczne i polityczne zarazem.

A.K.-P. Jak sądzę, redakcji „Przekładańca” chodzi o maksymalnie szerokie pojęcie feminizmu jako kategorii, która swoim zasięgiem mogłaby objąć też Butler. Pojawia się zatem problematyczna kwestia spojrzenia na feminizm i przyznam, że nie wiem, czy należałoby oddzielać od niego Butler taką grubą kreską, choćby dlatego, że w swojej refleksji posługuje się ona jednak kategorią kobiecości – dekonstruuje ją, a konstruktywizm płci społeczno-kulturowej pozwala feminizmowi na wyjście poza pułapkę esencjonalności... Ale nie wiem, czy znajdziemy tu płaszczyznę porozumienia?

M.B. Nie rozumiem, dlaczego Butler ma być feministką. Jak widać chociażby w *Uwikłanych w płęć*, opiera się ona w jakimś stopniu na tym, co pisze chociażby Monique Wittig, co wcale nie znaczy, że staje z nią w jednym szeregu i pod tymi samymi sztandarami walczy o te same prawa; interesują ją raczej pewne koncepcje i sposoby demontażu kategorii, za pomocą których opisujemy płęć i naszą tożsamość... Czy jednak trzeba to nazywać feminizmem? O wiele częściej przecież Butler deklaruje się jako ktoś, kto identyfikuje się z kategorią *queer* w jej społecznym i teoretycznym wymiarze.

A.K.-P. Kontynuując to, co Pan wcześniej powiedział o wyborze tego konkretnego tekstu: dlaczego zdecydowaliście się Państwo przełożyć *Żądanie Antygony*, umieszczając tę książkę w polisystemie literatury polskiej – żeby użyć sformułowania Zohara? Gest wyboru coś znaczy.

M.S. Ta książka ukazała się w serii „Interpretacje dramatu”. Butler zwykle się dramatem nie zajmowała, już raczej teatrem w jego bardzo prototypowym ujęciu, kiedy pisała o performatywności płci i przeciwstawiała teatr życiu, jeszcze nie do końca dekonstruuując oba pojęcia. *Żądanie Antygony* to chyba jej jedyny tekst, w którym omawia dramat. Ważne wydało nam się choćby to, na ile Butler potrafi współcześnie przeczytać antyczną tragedię i podjąć dyskusję z jej istniejącymi interpretacjami, odnosząc je do współ-

czesnych kategorii, a przy okazji objaśnić, czym jest performatywność. To niezwykle cenne dlatego, że seria „Interpretacje dramatu” adresowana jest przede wszystkim do studentów. A książka Butler szczęśliwie spełnia kilka różnych funkcji.

A.K.-P. A co z zarzutem, który formułowano wobec *Żądania Antygony* zwłaszcza w kręgach filologów klasycznych: zarzutem czytania ahistorycznego, które nie uwzględnia kulturowego kontekstu starożytnej Grecji i teatru antycznego? Czy uważacie Państwo, że ten zarzut jest uzasadniony z perspektywy filologicznej?

M.B. Chyba nie. Butler od początku podkreśla, że nie zgłasza pretensji do filologicznej wierności i nie próbuje rekonstruować tamtego teatru – nie to ją zajmuje. Zresztą nie do końca słuszne jest stwierdzenie, że podchodzi do zadania „niefilologicznie”, bo jednak wykorzystuje elementy tradycyjnej analizy filologicznej, choćby kiedy przywołuje etymologię derywatów imienia Antygona. Niemniej jednak już na początku wyjaśnia, że pisze książkę interwencyjną i wszystko w tej książce zostało podporządkowane temu celowi. Oczywiście można jej zarzucać, że nie rekonstruuje całości kontekstu teatru antycznego, ale akurat taka rekonstrukcja wcale nie jest w tym wypadku potrzebna. Butler robi coś innego, na co filolodzy nie powinni specjalnie kręcić nosem, bo porównuje przekłady i pokazuje, jak różne tłumaczenia *Antygony* dyktują odmienne interpretacje dramatu, a te interpretacje z kolei są istotne z różnych względów kulturowych – nie powołuje się przy tym na wszystkie, a jedynie na najbardziej znaczące, czyli Hegla i Lacana. Zatem wspomniany przez Panią zarzut jest o tyle nietrafiony, że pochodzi z zupełnie innego poziomu rozumowania.

M.S. Mówiliśmy wcześniej o feminizmie: weźmy na przykład pochodzącą jeszcze z okresu feministycznego książkę Sue-Ellen Case o teatrze i feminizmie. Pojawia się w niej teatr antyczny i rekonstrukcja pewnych jego aspektów z punktu widzenia współczesnego feminizmu. Case doczytuje, wyczytuje, przyczytuje coś, czego do tej pory filolodzy klasyczni nie dostrzegali. Jest wierna czy niewierna antycznemu teatrowi? Mamy dziś określone wyobrażenie teatru antycznego, wystarczy jednak przejrzeć wstępy do tomów Biblioteki Narodowej, żeby zobaczyć, co w dwudziestoleciu międzywojennym na temat antyku myślano. Można to potem porównać z ostatnimi przekładami tragedii antycznych, żeby się przekonać o fundamentalnych różnicach. Filolodzy klasyczni często niesłychanie sprytnie ukrywają podstawy własnej dyscypliny. Mają swoją wizję antyku, lecz twierdzą, że to wizja uniwersalna, a ich adwersarze popełniają kary-

godne nadużycia. Nie wiem, czy ktoś **zna** zakres semantyczny greckich słów, jak ich znaczenie zmieniał się w teatrze, po co wystawiano tragedie, dla kogo. Dysponujemy zaledwie hipotezami, najczęściej warunkowanymi ich aktualnym pożytkiem. Butler przynajmniej uczciwie mówi, że czyta antyczny tekst pod określonym kątem i w określonym celu, dlatego można z nią dyskutować.

A.K.-P. Interesująca jest kwestia dyskusji Butler z dotychczasowymi przekładami/interpretacjami. Jak te złożone kwestie interpretacji/przekładu rozgrywają się w tekście *Żądania Antygony*? Czy zdaniem Butler osoba dokonująca interpretacji/przekładu wpisuje w tłumaczo-ny przez siebie tekst samego/samą siebie, swoje wartości i normy?

M.B. Butler traktuje to jako zupełnie normalny proces: pokazuje, że każda epoka miała swoją *Antygonę* i inaczej ten dramat interpretowała, zależnie od tego, jakimi dysponowała przekładami. Sama Butler używa tych klasycznych przekładów, choć sięga głównie do angielskich wersji, robi to jednak instrumentalnie – nie komplikuje swoich rozważań, pokazując osobno, na jakim przekładzie pracował Hegel, a na jakim Lacan. Owszem, ta kwestia się pojawia, lecz Butler nie analizuje wpływu przekładu na całą koncepcję; odnosi się do jedynie do fragmentów. Wagę przekładów antycznej tragedii widać w *Żądaniu Antygony* jak na dłoni, jeśli przeczytać tę książkę pod kątem tego, jak przekład wpływa na sposób rozumienia dramatu, czy też jak język wpływa na interpretacje *Antygony*. W pewnym sensie arbitralne decyzje tłumaczy – choćby to, czy przekładać prozą czy wierszem – oddziaływały na kształt omawianych przez nią teorii. Butler wybiera na swoich dyskutantów Hegla i Lacana, bo to ich teorie wywarły wpływ na kształt kultury, jak również na kształt relacji społecznych w szerszym wymiarze, który nie ogranicza się wyłącznie do filologicznej czy filozoficznej analizy.

A.K.-P. Wiem, o czym Pan mówi, bo czytałam *Antygonę* jako bardzo młoda osoba w klasycznym przekładzie Morawskiego i dopiero przy moim spotkaniu z *Żądaniem Antygony*, przy okazji fragmentu mówiącego o zakazanej miłości między Antygoną a Polinejesem, zaczęłam się zastanawiać, czy ten motyw u Morawskiego w ogóle się pojawia – w tym przekładzie o inćście w ogóle nie ma mowy.

M.S. U Srebrnego również tego Pani nie znajdzie – po prostu nie mieściło się w jego polu widzenia. *Antygonę* czytano tak, jak mogli ten tekst czytać tłumacze ze względu na własne uwarunkowania kulturowe.

A.K.-P. Dokładnie tak. A czy podczas pracy nad tym tekstem sięgaliście Państwo do dramatu Sofoklesa? Czy proces tłumaczenia Butler zmienił Państwa optykę, spojrzenie na ten tekst?

M.S. Nie, świadomie podjęliśmy decyzję, żeby nie korzystać z polskich przekładów, tylko tłumaczyć na „biało”, ponieważ wprowadzenie którekolwiek z polskich przekładów spowodowałoby komplikacje, mnożenie przypisów wyjaśniających, że wprawdzie po polsku jest tak, ale po angielsku inaczej. To zapewne materiał na osobną przedmowę czy artykuł, lecz w tym przypadku mnożenie przypisów dowiodłoby jedynie tego, że tłumacze zadali sobie trud i sięgnęli po polskie przekłady *Antygony*.

M.B. Wplatanie polskiego tłumaczenia w wywód Butler niczemu zresztą by nie posłużyło, bo ona pracowała na istniejących przekładach angielskich. Najistotniejsze jest to, co ona z nich wyczytała. Tłumacząc, trzeba się było skupić na zachowaniu korespondencji między tym, co znajduje się w angielskim przekładzie, i tym, co jest w wywodzie Butler. Polski przekład wprowadziłby nową warstwę terminów i słów, wymagających obudowania dodatkowym komentarzem. To raczej by się nie sprawdziło się jako strategia tłumaczeniowa.

A.K.-P. Może przejdźmy więc do kwestii *stricte* warsztatowych – na czym polegała Państwa współpraca przy *Żądaniu Antygony*?

M.S. Nie ma tu żadnej metafizyki (*śmiech*).

M.B. Podział obowiązków jest jasny, każdy robi dokładnie połowę i poprawia drugą połowę. Ma to tylko takie znaczenie, że pracuje się bardziej efektywnie, bo dwie osoby potrafią łatwiej wyłapać błędy i uzgodnić problematyczne kwestie terminologii. Poza tym przekład nie musi już „odczekiwać” na poprawę. Inność polega na tym, że dostaje się tekst swój, ale po poprawkach, więc jest już trochę obcy – myślę, że proces tłumaczenia przebiega wtedy trochę tak, jak proces patrzenia na rzecz, która nie jest do końca „swoja”, a którą trzeba wynegocjować, by dotrzeć do wspólnej wersji.

A.K.-P. Negocjacja jest słowem, którego często Państwo używacie w odniesieniu do przekładu.

M.B. Na tym przekład polega i jest to czasem dość bolesny proces. Tak było w przypadku terminu *kinship*: należało wybrać jakiś ekwiwalent, a żaden nie był w pełni satysfakcjonujący. Nawet *związki rodzinne* nie są tym, co Butler ma na myśli, kiedy pisze *kinship*, bo dla niej to na przykład rela-

cja trzech czarnoskórych mieszkanek getta, które razem wychowują swoje dzieci. *Relacje rodzinne* to właśnie kompromis i efekt negocjacji – musimy się zgodzić, że po polsku mamy tę nieszczęsną *rodzinę*, która kojarzy się z normatywnym modelem i zakłada określone funkcje społeczne. I nie inaczej we wszystkich newralgicznych momentach tłumaczenia: wynik to zawsze efekt trudnych negocjacji.

M.S. Warto pewnie dodać, że te negocjacje rozgrywają się w nieco innych obszarach podczas tłumaczenia tekstów naukowych, a w innych podczas tłumaczenia tekstów artystycznych, gdzie leży kraina większych dowolności. W oryginale można wyczytać różne rzeczy, zależnie od tego, jak się rozłoży priorytety – dlatego proces negocjacji zaczyna się o wiele wcześniej, czyli w chwili lektury tekstu. Jego sens to już wynik negocjacji, potem pojawia się coraz więcej różnych wynegocjowanych warstw.

A.K.-P. Czy w przypadku tego przekładu można zrobić rachunek zysków i strat? Czy przypominacie sobie Państwo kwestie natury *translatologicznej*, które okazały się bolączką procesu tłumaczenia, a może wręcz przeciwnie, okazały się jego prawdziwym atutem?

M.B. Rachunek zysków i strat zakłada, że musielibyśmy mieć jakieś wyobrażenie o ideale, który należy osiągnąć, a tłumaczenie robi się na określony moment, bez aspiracji, żeby powstało wiekopomne dzieło, które wejdzie na stałe do kanonu. Szczególnie w przypadku takich jawnie interwencyjnych książek jak *Żądanie Antygony*. Myślę, że chodzi głównie o wybór najlepszych strategii, które sprawdzą się w określonym kontekście. Straty – tu semiotyka się czkawką odbija – straty znaczenia, fakt, że zakresy znaczeniowe słów się rozmiągają, jak użyjemy jednego, to już nie drugiego, a chciałoby się obu naraz, to dzielenie włosa na czworo. W praktycznej robocie, owszem, potrzebne, bo trzeba sobie zdawać sprawę z różnych możliwości, ale chyba niespecjalnie to powód, żeby mówić o podstawie i celu działalności tłumacza. Wyobrażam sobie, że ktoś, kto za parę lat sięgnie po *Żądanie Antygony*, zrobi inne tłumaczenie, zakładając oczywiście, że Butler jest feministką i podkreślając zupełnie inne aspekty jej wywodu. To raczej kwestia użyteczności przekładu dla czytelników, a nie strat i zysków.

M.S. O zyskach i stratach można mówić jedynie na poziomie akapitu, czasem na poziomie zdania. Jeśli nie uda się zrobić analogicznej konstrukcji frazeologicznej, to się kompensuje ją doбором słownictwa albo łączy się dwa zdania w jedno – wtedy robienie rachunku strat i zysków jest użyteczne i ma sens. Ale w sytuacji, gdy przekład jest skończony, a my siadamy

i robimy bilans, to wyłącznie w tym celu, by przystąpić jeszcze raz do tłumaczenia, a to utopia. Albo też po to, by w wielkiej euforii pójść się upić, bo zrobiliśmy rzecz genialną (*śmiech*). Na poziomie życiowych podsumowań to chyba nie ma sensu. Liczy się tylko na poziomie wewnętrznych rozgrywek tłumacza z sensem

A.K.-P. A co ze stylem Butler? Niektórzy amerykańscy krytycy i krytyczki zarzucają jej udziwnianie, niepotrzebne komplikowanie wywodu, manierę. Czy „gęstość” stylu miała znaczenie podczas pracy nad *Żądaniem Antygony*?

M.B. Miała. Szczególnie ta część, w której Butler prowadzi dyskusję z Lacanem. Tam było chyba najwięcej takich momentów, kiedy analizowaliśmy bardzo długo, o co jej faktycznie chodzi. Niestety, kiedy autor podejmuje trudne kwestie, jak robi to Butler, nie zawsze daje się je przełożyć na proste żołnierskie słowa. Jeśli ktoś nie potrafi się z tym pogodzić, nie ma chyba sensu, żeby zabierał się w ogóle do tłumaczenia. Trudne w przypadku Butler jest to, że ona – szczególnie analizując pisma Lacana – po angielsku pisze o teorii, która powstała w języku francuskim. Rodzi to ogromne komplikacje. Mówi się, że teoria Lacana byłaby czymś zupełnie innym, gdyby powstała po angielsku, bo w znacznej części jest efektem różnych językowych mechanizmów właściwych francuszczyźnie. Kiedy zatem pojawia się w przekładzie na angielski, zaczyna naprawdę być skomplikowana. Nie jest to jednak taki typ wywodu, który świadomie usiłuje wprowadzić czytelnika w błąd.

M.S. Pod tym względem Butler różni się choćby od Herberta Blaua, który **świadomie** wprowadza komplikacje i próbuje dodatkowo obudować dyskurs teoretyczny warstwą poezji – Blau jest trudniejszy od Butler. Problem polegał jeszcze na tym, że między Lacana i Butler wdziera się Lévi-Strauss z zupełnie innym systemem pojęciowym. Polskie odpowiedniki tych teorii wywodzą się natomiast z nieco innej tradycji – dlatego tak trudno wyznaczyć poziomy, na których coś znaczy, znaleźć terminy możliwe do przeniesienia z jednego zdania do drugiego. Przecież kiedy zmienia się system odniesień, należałoby również przenieść terminy, a one po polsku brzmią inaczej i nie do końca to samo znaczą. Tu się zaczyna to, co w tłumaczeniu najbardziej istotne. Nie tłumaczy się na poziomie wyrazów i sformułowań, ale na poziomie sensów.

A.K.-P. Czy w trakcie pracy nad przekładem sięgaliście Państwo do Lacana lub do Hegla, „przepracowując” czy też „opracowując” na nowo ich interpretacje *Antygony*?

M.B. Nie, Butler postępuje z Lacanem i Heglem czysto instrumentalnie, tzn. klarownie definiuje terminy, które zapożycza, a zatem nie odsyła do konkretnych lektur. Nie wymaga również od tłumacza, żeby sam poszukiwał znaczenia terminu *Aufhebung* i jego możliwych interpretacji po polsku. Mechanizm naszego postępowania był prosty: skoro Butler na kanwie tekstów i cytatów, które przytacza, tworzy własny wywód, to znaczy, że najważniejszą sprawą jest zachowanie jego integralności. Z tego zaś wynika, że w ramach jej wywodu należy szukać ekwiwalentów i sposobów tłumaczenia, które są swoiste dla niej, bez konieczności odwoływania się do zewnętrznych źródeł. Zresztą po polsku tych źródeł nie jest wcale tak wiele, by można było sobie na to pozwolić.

A.K.-P. Mam na myśli raczej oryginały.

M.S. Owszem, sięgnęłam do Hegla, bo wystarczyło odszukać go na półce. Jednak jego niemiecki wywód na temat *Antygony* ma się nijak do tego, co robi Butler po angielsku, bo ona czytała Hegla po angielsku. Na kanwie angielskiego tłumaczenia zbudowała i swój wywód, i swoją terminologię – niemiecki oryginał niewiele tu pomoże. Można sięgnąć do polskiego przekładu, ale po raz kolejny niewiele to przynosi pożytku.

A.K.-P. A co z nowym tłumaczeniem Hegla Nowickiego, które ukazało się nakładem Alatheii?

M.S. Korzystałam z wcześniejszego tłumaczenia, lecz nie sądzę, by czas wydania wiele zmieniał, bo relacja między systemem polszczyzny a swoistą naturą języka Hegla przecież się nie zmieniła. Kiedy chodzi o drobne cytaty czy nawiązania w ramach cudzego, integralnego wywodu, zupełnie się to nie sprawdza. Także w innych przekładach tłumaczymy wersję podawaną przez oryginał, dodając w przypisie informację, że już istnieje polski przekład. To chyba bardziej korzystne niż choćby poprawianie istniejącego polskiego przekładu, żeby odpowiadał wersji angielskiej czy francuskiej...

A.K.-P. Chcę jeszcze Państwa zapytać o los *Antygony* jako osoby zabierającej głos czy posługującej się – jak chce Butler – cudzym głosem, językiem, który do niej nie należy. Czy taki jest los tłumacza/ki? Czy – nieco przewrotnie rzecz ujmując – można być tłumaczem/ką, nie

skazując się na śmierć za życia za sprawą tej niewidzialności, o której pisze Lawrence Venuti?

M.B. Można na to spojrzeć z różnych stron. Na przykład optymistycznie. Zabieram oto głos jako tłumacz, ale wy tego nie widziecie. Antygonę ukradła cudzy język, więc została ukarana. Zepchnięta na margines społeczeństwa, żeby jej głosu nie słyszano. Głos tłumacza to raczej głos, który słyhać, choć jego samego nie widać. Czy pyta więc Pani o to, czy mi przykro, że tłumacza nie widać? (*śmiech*) Nie, nie jest mi przykro. To akurat plus tej pracy: pewne rzeczy można powiedzieć bezkarnie, zasłaniając się osobą autora. Myślę, że to znacznie ciekawsze niż manifestacje i zabieranie głosu jedynie po to, by zostać usłyszanym.

M.S. Na pewno tłumacz nie jest Antygoną, bo Antygonę kradła głos, by domagać się swoich praw. Tłumacz, nawet jeśli załatwia pokątnie własne sprawy ideologiczne, kiedy dokonuje wyboru tego, co i jak tłumaczy, nie demonstruje niczego jako własnego, to nie on wchodzi z Kreonem w dyskusję, raczej wysyła swego awatara. To zadanie służebne – przetłumaczyć cudzy tekst. Jeśli chcę powiedzieć coś od siebie, piszę artykuł czy książkę. Część przyjemności z tłumaczenia polega na tym, że nie muszę myśleć o sensie, lecz o tym, jak do tego cudzego sensu dotrzeć i jak go przekazać po polsku.

A.K.-P. A co Państwo myślicie o strategii proponowanej przez niektóre teoretyczki przekładoznawstwa o orientacji feministycznej, strategii polegającej na tym, by zaznaczać obecność tłumaczki, niejako „udziwniając” tekst – może nawet queerując go? Np. Barbara Godard pisze o zabiegach tłumaczek kanadyjskich, które w stosunkowo neutralną wypowiedź wplatają metafory konkretyzujące kobiece ciało.

M.S. Tego chyba nie można robić.

A.K.-P. To granica, której nie powinno się przekraczać?

MS: W przekładzie pełni się rolę pośrednika, tylko i wyłącznie. To jednak nazwisko autora widnieje na stronie tytułowej. Kiedy zaczyna się wplatać metafory i własne mniemania na temat świata, zaczyna się wewnętrzny dialog, na którego istnienie należy uczulić czytelnika, inaczej wszystko pójdzie na karb autora. Trzeba bodaj nie tylko brać pod uwagę własne chęci czy potrzeby, ale również dominujące strategie odbiorcze.

A.K.-P. Odpowiedzialność wobec tekstu przede wszystkim?

M.S. Tak. Wyobraża sobie Pani, że idzie Pani do kina i lista dialogowa manifestacyjnie przekazuje mniemania tłumacza na temat toczących się na ekranie dialogów? Cała zabawa w tłumaczenie polega na tym, by w możliwie najuczciwszy sposób przekazać sensy, które tłumaczowi udało się w oryginale wyczytać. I bodaj nic więcej.

A.K.-P. Pozwala to też zawołać *Don't slay the messenger* (śmiech).

M.B. To chyba nie jest aż tak prosta kwestia, by można ją załatwić powoływaniem się na odpowiedzialność. Głębokość ingerencji podczas tłumaczenia może być wielka, ale chodzi przede wszystkim o ich uzasadnienie.

M.S. Kiedy jednak „przepisuje” się teksty Szekspira, żeby je squeeerować, to anonsuje się je jako wariacje na temat, a nie tłumaczenia.

A.K.-P. Mam jeszcze pytanie o miejsce przekładu. Przekład pojawia się coraz częściej w naukach humanistycznych jako kategoria opisująca różne rodzaje relacji między różnymi zjawiskami kulturowymi czy też stosunki panujące w obrębie danego działu nauk. Judith Butler nie jest jedyną teoretyczką sięgającą do tej kategorii, by ująć w słowa istotę relacji między pokrewnymi dziedzinami – w jej przypadku to teoria krytyczna i kulturoznawstwo. Czy możemy mówić o uniwersalizacji tego pojęcia? Czy może raczej zainteresowanie przekładem ma swoje źródło gdzie indziej, w jego performatywnym charakterze?

M.B. Na pewno nie jest to uniwersalizujące pojęcie. Chodzi raczej o zwrot tłumaczeniowy, nurt, który zapożycza metaforykę przekładu, żeby mówić o transferze kulturowym. To raczej taka dziedzina, która ucieka od uniwersalności, próbując pokazać pewne zależności między różnymi dziedzinami, różnymi kręgami kulturowymi czy zjawiskami społecznymi. Nie wiem jednak, na ile wpisuje się to w zakres badań ściśle translologicznych. Tu chodzi o wykorzystanie przekładu do mówienia o innych zjawiskach, jak kiedyś metafory teatru używano do mówienia o świecie, a teraz używa się metafory performansu. Trudno mi też powiedzieć, na ile w Polsce ten nurt badań – przekładu rozumianego jako transfer kultur – jest obecny.

M.S. To wykorzystanie analogii do mówienia o zupełnie innych sferach. Że w Polsce nie ma takiej odrębnej dyscypliny – to typowe. Należy mieć nadzieję, że zniknie instytucjonalnie narzucana siatka dyscyplin, pojawią się nowe nurty i specjalności.

A.K.-P. Czy widzicie Państwo szansę na to, żeby myśl Butler otworzyła nowe horyzonty w humanistyce polskiej?

M.B. To się dzieje tu i teraz. Wcześniej polscy autorzy powoływali się na Butler, czytając teksty oryginalne, tudzież te kilka esejów, które pojawiły się w różnych czasopismach. Być może dzięki wielu nowym przekładom ktoś podejmie próbę zaanektowania Butler jako pewnej całości, a nie tylko wyrywkowo traktowanych ustaleń i lokalnych problemów.